

# Przegląd Wileński

PISMO POSWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.  
Czynne od g. 12—2 rózcz swiát.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 50 zł.  
 $\frac{1}{2}$  „ — 25 „  
 $\frac{1}{4}$  „ — 13 „  
 $\frac{1}{8}$  „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Załamane tradycji.

### Dokumenty.

Na początek niech wolno będzie przypomnieć słowa, odzwierciadające ducha towarzyszącego wskrzeszeniu Wszechnicy wileńskiej. Otwierając uczelnię, Naczelnik Państwa i Naczelný Wódz takimi słowy dekretował swój czyn:

...„Powołuję [Uniwersytet] po kilkudziesięcioletniej przerwie do wznowienia wiekopomnej działalności, a czynię to, by spełnić życzenia i zaspokoić potrzeby miejscowej ludności, by w imię prawdziwej swobody nawiązać odwieczną złotą nić cnoty, wiedzy i kultury, zerwaną dzikim gwałtem...—„Taką zwykła być Rzeczpospolita, jakeimi są obyczaje i ukształcenie jej obywateli”, pisał Jan Zamojski, zakładając Wszechnicę w Zamościu. Słowa te powinny być drogowskazem dla mistrzów i uczniów odnowionej teraz Wszechnicy.—Oby Uniwersytet Wileński, rozpoczynając nowy okres swych dziejów, pomny świetnej swej tradycji, zajaśniał nowym blaskiem, oby stał się ...„świątynią cnoty, a przybytkiem nauki”. Niech promienieje kulturą w jaknajszersze kręgi, podnosi obyczaje i kształci umysły młodzieży, garnącej się pod jego opiekuńcze skrzydła, i niech będzie jedną z tych wielkich dróg świetlanych, wiodących ludzkość do poznania prawdy”.

I jeszcze kilka słów ze wspomnień organizatora i pierwszego rektora odrodzonej Wszechnicy Wileńskiej, prof. Michała Siedleckiego: „Nawet w społeczeństwie żydowskim tak bardzo liczne w Wilnie, wskrzeszenie Uniwersytetu obudziło wielkie zainteresowanie i oddźwięk raczej sympatyczny”... „Mojem marzeniem było to,—mówi w innym miejscu zasłużony rektor,—aby Uniwersytet Wileński, jako centrum prawdziwej wiedzy, stał się pewnego rodzaju pomostem, uła-

twiającym zbliżenie się społeczeństwa żydowskiego odcinającego się od reszty społeczeństwa wileńskiego, do społeczeństwa polskiego. Rzecz prosta, że tego rodzaju zbliżenie się nie mogłoby się obyć ani za cenę specjalnych praw nadawanych Żydom na Uniwersytecie, ani też za cenę jakichkolwiek ograniczeń społeczeństwa polskiego, a tylko wyobrażałem sobie, że wysoko postawiona nauka na Uniwersytecie Wileńskim nauczy społeczeństwo żydowskie, aby nas ceniło i widziało swą korzyść w zbliżeniu się do nas”.

Jakże daleko odbiegliśmy od atmosfery wysokiej kultury, wiejącej z przytoczonych wyżej słów. Można by i dalej cytować myśli takie i tym podobne, garściami czerpać jak najcenniejsze rubiny i drogie kamienie, błyszczące dziś światłem już raczej mistycznym z przeszłości, daleko odsuniętej od nas barbarzyństwem i chaosem dnia dzisiejszego. Możliwość wydobywać ze skarbcza ducha ludzkiego myśli, niczem bezcenne perły i sypanać je szczerze przed tłumy, które się na nich dziś poznać nie umieją. Lecz byłoby to rzucanie grochem o ścianę, żeby nie powiedzieć, ulegając obsesji natarczywego porównania, rzucanie pereł przed wieprze

Ale natura ludzka, natura zwłaszcza młodości mimo narastający ze wszech stron pesymizm, broni się przed nim. Więc chciałoby się doszukać pobudek idealnych nawet w czynach brutalnych. Nadspodziewanie liczne skupienie się dużego odłamu młodzieży akademickiej pod chorągwie antysemityzmu, musi mieć jednak pewne podłoże psychologiczne. Bo inaczej zrozumieć byłoby trudno—w jaki sposób stać się to mogło, że tak znaczna liczebnie część młodzieży dała się powodować małej stosunkowo—grupie zdeklarowanych nietylko programowo co pogromowo koryfeuszów ugrupowań t. zw. „narodowych”. Bo przecież musi być jakaś głębsza przyczyna, niż tylko dobra organizacja i wpływy ukrytych za kulisami sprężyn z poza uczelni, skoro masy akademickie z wiarą i entuzjazmem, godnym lepszej sprawy, na

dane hasło, ruszyły na ulicę, by polskość swoją i uczelni demonstrować w licznych i ulicznych tumultach, w brzęku rozbijanych szyb, w wyczynach kastetu i pałki, w atmosferze religijnego patosu i sztucznie wytworzonego nimbu bohaterstwa. To wszystko — z nienawiścią w sercu, w głuchym i ślepym uporze na perswazje, a niemal z modlitwą na ustach, z imieniem Tego, który życiem swem i męczeństwem nakazał miłować bliźniego swego.

### Hinc itur ad astra...

Młodzież polska przez długie dawne lata była młodzieżą głęboko ideową. W ciągu ubiegłych pięciu pokoleń polskich, każde nowe pokolenie otrzymywało testament ideowy, z którym szło w życie i który chronił je przed zbłąkaniem. Testament ten zawierał ideę jasną, wyraźną i wielką, której celem było: Ojczyzna. Niejedno pokolenie pieczętowało go krwią. Ta spuścizna ideowa była gwiazdą przewodnią w mrokach niewoli, była płonąca latarnią, chroniącą przed rozbiciem niejeden statek polski, była jedyną twardą ścieżką, wiodącą przez zdradzieckie topieliska i bagna niewoli. Szukano dróg, błędzono, kłócono się, wybierano środki, potępiano je i siebie nawzajem, ale nie zagubiono kompasu, który wreszcie wyprowadził z domu niewoli.

Idea przyobkleła formę rzeczywistości. Rzeczywistość stała się zwykłą i codzienną, przestała wzbudzać entuzjazm, wzmacniać tętno krwi. A psyche polska w ciągu 150 lat przyzwyczaiła się tęsknić. Tymczasem znalazła się przed pustką ideową. Wojny i przewroty sprowadziły rewolucje w dziedzinie moralności. Nastąpiło nieprawdopodobne „przewartościowanie wartości”.

I oto ten i ów student, znalazłszy się na dziedzińcu Poczobutta i przejąwszy się szczerze wmurowanym złoconym napisem: *Hinc itur ad astra* (tędy się idzie ku gwiazdom), rzuca pytanie w bezradnej

rozpaczy: Dobrze, ja też chcę dążyć tym gwiazdzistym szlakiem, ale jak, powiedźcie mi, jak?...

Tragiczne pytanie odbija się wielokrotnem echem pod arkadami barokowych krużganków, ale nie znajdzie echa w sercach. Narazie nikt nie usłyszał. Nikt? Nie, przecież znalazł się ktoś, kto zdezorjentowanemu a stęsknionemu porady i prawdy akademikowi wskazuje drogę. Czyjeś niewidzialne ręce wznoszą zmurszały, przegniły, zdawało się, drogowskaz. Narazie! Jest przecież ktoś, kto usłyszał, kto oświeci i poprowadzi. Wszystko jedno, co powie na zbawczym maszcie, Brudna płachta czy sztandar idei. Dotychczas nie było nic. — „Bić Żydów”? Bić to bić, a więc nie rozumować: co, jak i dlaczego. Trzeba działać. Naprzód bracia, „Oto dziś dzień krwi i chwały!...” \*).

### Kontrabanda idei.

I swoje zrobiono. Zrobili to ukryci za kulisami „działacze” Nic ich nie obchodzi, że popełnili wstrętne oszustwo, ohydne i bezkarne. Żaden kodeks nie przewiduje kary na trucicieli duszy ludzkiej. Zrobili, pewni, że narazie i tak nikt sprawdzać nie będzie. Bo gdzie probierz, skoro archikonfraternia łączy przedziwnie nienawiść i przemoc ze światłem łaski oczyszczającej intencjonalnego nabożeństwa, uroczyście celebrowanego w akademickim kościele? Jakież mogą być wahania i zwątpienia, gdy nieprawdopodobieństwo samodurnego bohaterstwa t. zw. blokady doznaje gloryfikacji rozhisteryzowanych ciotek i zakochanych panienek? Jakżesz nie skąpać się w chwale taniego poświęcenia, jakżesz nie zaspokoić niewyżytych marzeń i pragnień, jak nie zachłysnąć się temi możliwościami, które nagle rozlały się falą szeroką niosącą na swej zbałwanionej powierzchni niemniej zbałwanione indywidua, odurzone nieoczekiwanem pa-

\*) „Warszawianka” jest hymnem młodych narodowców, czymś w rodzaju „giovinezzy”.

## „Japońska” agentura\*).

Na początku roku ubiegłego w Wilnie rozpowszechniana była odezwa w języku białoruskim, podpisana przez „Aktu Usiebiełaruskaho Antykomunistycznaho Frontu”, która nawoływała społeczeństwo białoruskie do czynnej walki z komunizmem — w związku z zarysowującym się na Dalekiem Wschodzie widmem wojny japońsko-sowieckiej. Odezwa posiadała charakter wybitnie antisowiecki i projapoński. To też „Biełaruskaja Krynica”, podając wiadomość o tej odezwie, określiła takową jako „japońską”.

Aczkolwiek nawet najbardziej pobieżna analiza języka odezwy wskazuje, iż pisać ją musiał *Rosjanin*, nie jest bynajmniej wykluczone, iż istotnie została ona inspirowana czy wydana przez agentów japoń-

skich. Mielibyśmy więc tu do czynienia z *nową obcą agenturą*, działającą na terenie białoruskim.

Jeśli marszałek Piłsudski z taką głęboką goryczą i troską o swoją ojczyznę podkreślał zgubną dla Polski działalność rozmaitych agentur obcych, to zgubność ich działalności dla Białorusinów jest stokroć większa: nie mają Białorusini swego państwa, nie mają armji, któraby ich od zakusów wrogich broniła, to też *jedynym środkiem samoobrony narodowej jest spoistość wewnętrzna narodu*, — a ją właśnie wszelkie agentury obce starają się rozbić przedewszystkiem. Charakterystyczne jest, iż każda z tych agentur deklamuje o konieczności jedności narodowej Białorusinów, lecz rozumie ją w ten sposób, iż wszyscy Białorusini powinni iść za przewodnictwem tej własnej agentury. Dowodem tego jest niezwykła zacieklność, z jaką działacze, świadomie czy nieświadomie podporządkowani agenturze obcej, zwalczają wszystkich tych, kto się danej agenturze ośmiela przeciwstawiać. Nie chodzi tu już bynajmniej o współzawod-

\*) Artykuł powyższy został złożony nam b. dawno, nie stracił jednak wartości i dzisiaj, bo sytuacja zasadniczo nie uległa zmianie. (Red.).

sowaniem na „rycerzy” na „obrońców”, „bojowników”, jak nie dać się porwać tej całej atmosferze, której przeciwstawić się oznacza narazić się, a której ulec oznacza zdobyć tytuł „męczennika sprawy narodowej”? Łatwo na takim podłożu przemycano kontrabandę idei. Wiadomo bowiem, że w życiu społecznym, jak w ekonomice, panuje prawo, że metal mniej szlachetny wypiera z obiegu złoto.

Młodzi poszli. Jedni z wiarą, inni z popędu. Bo trudno jest w takich chwilach być samodzielnym. Trudno jest w chaosie ogólnych zdarzeń, w tumulcie rozbieganych nóg, ustalić swój własny odrębny krok i krok ten utrzymać. Łatwiej jest dać się porwać prądowi. A w tym wypadku także i wygodniej. Niewielu zechce się zastanowić nad tem, że antysemityzm nigdy się nie stanie ideą, tem mniej wielką ideą. Powinna mieć—wielka idea—choć część prawdy, jako objawienie Boga i celu istnienia człowieka. Gdzież tu się jej doszukać, tej prawdy? Czyżby w tem, że nad ogólnym chaosem i dezorganizacją unosiło się błogosławieństwo Arcypasterza?...

Dochodzi się do absurdalnych wyników. Uniwersytet „świątynia cnoty, przybytek nauki” zmienił się na arenę fizycznych zapasów, gdzie panuje pięść i nienawiść. Pożądliwe instynkta tłumu okazują się tak silne w swej agresji, że zarażają psychikę akademicką prymitywizmem pałkarskiej ideologii. Że tę ideologię zaszczerpiono tłumom młodzieży, tworzącej kadry przyszłej inteligencji, więc należało jeszcze dodać fikcje rozumowe. Trzeba jeszcze niejakich przesłanek, pożałuj Boże, intelektualistycznych. Stąd sofistyka rzekomych racji i potrzeb narodu, a przy oportunizmie natury ludzkiej, przejmowanie się fałszywym mitem o konieczności podporządkowania się idącym nastrojom. Kryteria kulturalnego myślenia zastąpione wzorami średniowiecznego zabobonu, w salach wykładowych myśl zdławiona kleszczami rozdmuchiwanymi nienawiści, a nad życiem społeczeństw zamiast ideału ludzkości, ideału człowieka—panoszy

się bestja ludzka. W tych warunkach słowa z dekretu Naczelnego Wodza o tem, że Uniwersytet ma „promieniować kulturą w jak najszersze kręgi, podnosić obyczaje, kształcić umysły młodzieży, garnącej się pod jego opiekuńcze skrzydła i być jedną z tych wielkich dróg świetlanych, wiodących ludzkość do poznania prawdy”,—stają się obecnie czemś tak dalekiem, że dzień dzisiejszy wydaje się wobec nich urągliwym szyderstwem i zdaje się, że słyhać niemal, jak nad jazgotliwym tłumem bryzgającym grzeszną nienawiścią, płynie chychotliwy „jęk szatanów”...

### Brak odpowiedzialności.

Sprawa żydowska to sprawa tragiczna. Nie rozwiąże jej jednak, ani nie ułatwi jej rozwiązania nastrój nieprawdopodobnego zacofaństwa, obniżenia etyki i bezdusznych praktyk religijnych.

Jeżeli się propaguje w życiu prywatnym wysokiej miary moralność, jeśli się wymaga moralnej czystości osobistej prywatnych jednostek,—jakżesz znaleźć rozgrzeszenie i usprawiedliwienie dla postępowania „nadziei narodu” i kwiatu inteligencji—rzesz akademickich, postępowaniu wręcz zaprzeczającemu tej moralności? Zwolennicy totalizmu—czemu zapominają, że rozszczepianie etyki i moralności na wewnętrzną—dla mnie i zewnętrzną, obowiązującą wobec innych, prowadzi do niebezpieczeństwa, bo podcina podstawy na których się pragnie oprzeć cały byt. I czy opłaci się? Bo kto dowiódł i gdzie, że warto jest zrezygnować z niektórych nakazów etyki ogólnoludzkiej, zapomnieć o tem, że jest się człowiekiem, który rozumie prawo i chęć do życia innego człowieka—za cenę bliżej nieokreślonych „zdobyczy” materialnych. Bliżej nieokreślonych, bo kto wreszcie zwykłym rachunkiem wytłumaczy jakie w ostatecznych osiągnięciach będą rezultaty rozhuśtanej nienawiści antyżydowskiej.

Tego tragicznego splotu, jaki tworzy kwestję żydowską, nie rozwiąże próba wskrzeszenia średniowie-

nictwo twórcze pomiędzy poszczególnymi odłamami społeczeństwa, normalne i pożądane, o ile ma na celu służbę swojemu narodowi, wzbogacanie jego na wszystkich odcinkach życia społecznego. Odwrotnie: agentury obce dążą do przeszkadzania, uniemożliwiania takiej pracy twórczej tym wszystkim, kto jest od nich niezależny, a więc do redukcji, pomniejszenia rozpędu twórczego narodu, jako zróżniczkowanej jednoty. Zwalczanie dochodzi tu do wyraźnej chęci fizycznego zniszczenia współpraci inaczey myślących, choć w ten sposób przedewszystkiem osłabia się siła i odporność całości narodowej. I to jest największą tragedją Białorusinów—o wiele straszniejszą w swych skutkach, niż nawet podział kraju przez państwa ościenne.

Wydana odezwa wskazuje na zapoczątkowanie wśród Białorusinów akcji nowej agentury obcej: tym razem ma to być agentura *japońska*. Pozostawiamy na uboczu kwestję sympatii czy antypatii w stosunku do Japonji i jej dążeń politycznych. Nie poruszamy też

kwestji komunizmu i walki z nim, co jest problemem o skali światowej i nie identyfikuje się z aspiracjami japońskimi. Pragniemy pokrótce naświetlić perspektywy, jakie powstałyby przed narodem białoruskim, w związku z możliwością konfliktu zbrojnego pomiędzy Sowiecami i ich sąsiadami.

Odezwa „japońska” (tak ją będziemy za „Krynicą” dla krótkości nazywali) twierdzi (—słusznie, czy nie, to już inna kwestja), że zwycięstwo Japonji nad Rosją w roku 1904 w skutkach swych przyniosło Białorusinom wolność słowa i częściowo swobodę działania. *W dalszym wyniku tego zaistniało suwerenne państwo białoruskie* (akt 25 marca 1918), lecz czeryony imperjalizm moskiewski zniweczył państwowotwórcze wysiłki Białorusinów. „Zbliżająca się wojna japońsko-bolszewicka zburzy krwawą dyktaturę komunistyczną i da całkowitą wolność ujarzmionym narodom ZSSR, w tej liczbie i narodowi białoruskiemu”.

Tak mówi odezwa. I w imię tej wolności, w imię odbudowy niepodległej Białorusi, wzywa wszystkie

cznego ghetta na uniwersytetach. Ta metoda nie daje nic, prócz szkody. I sprowadza niedorzeczność. Wyrazem tego może być kolportowana ostatnio wśród młodzieży akademickiej, ulotka w której poza stekiem fantastycznych bredni i przeciwstawianiu się wiedzy, gdyż z niej korzystają Żydzi i komuniści, jest i twierdzenie, że „zamknięcie uniwersytetu będzie to wielki i zasłużony cios dla Żydów i komunistów”, wiedza bowiem to ich potęga i broń, której należy ich pozbawić. Być może, że ulotka ta nie wyszła ze środowiska, firmowanego w podpisie. Ale sama możliwość jej ukazania się, choćby tylko jako karykatury, dowodzi jakiemu obniżeniu uległ poziom umysłowy i moralny mas akademickich Wszechnicy Batorowej. Ulotka ta jest szyderczą karykaturą, ale każda karykatura zawiera w sobie wyolbrzymione elementy prawdy. Dlatego przepaść jaka oddziela atmosferę duchową z czasów otwarcia Uniwersytetu, atmosferę promieniującą z przytoczonych na początku cytatów, od atmosfery, która umożliwiła ukazanie się pomienionej ulotki, mówi o klęsce moralnej uczelni, o ciężkiej bolesnej zniewadze, wyrządzonej kulturze. To jest jak dotychczas jedyny rezultat rozpętanej burzy antagonizmów: upadek moralny.

Eugenjusz Gulczyński.

## Antysemityzm wileński.

Potężny a powszechny dziś wzrost antysemityzmu zmusza myśleć nad tem zjawiskiem, badać je i ustosunkować się tak lub owak do niego. Nie przejdzie obecnie nikt obok niego obojętnie, chociażby nie wiem jak był apolitycznym statystą na widowni naszego kraju.

Nie obchodzi nas w tej chwili wcale antysemityzm w swych aspektach — koroniarским, galicyjskim i poznańskim. Interesuje nas dziś tylko nasz, rodzimy, krajowy. Zresztą to całkiem zrozumiałe: niniejszy krótki artykuł ma na celu podkreślić kilka rysów specjalnie antysemityzmu wileńskiego, nie siląc się

nie tylko na syntezę, lecz nawet na szersze porównania i zestawienia.

Gdy antysemityzm współczesny w Polsce rdzennej wyprowadza się z wulgarnej akcji Jana Jeleńskiego („Rola”), z podszytej badaniami historycznymi pracy pisarskiej Teodora Jeske Chońskiego, z nastrojowego a bombastycznego temperamentu Andrzeja Niemojewskiego, Adolfa Nowaczyńskiego i in., nasz antysemityzm wileński prawie nie ma rodowodu, jest dosłownie podrzutkiem, zostawionym przez niewiadomego(—ą) w kruchcie kościelnej lub w przeważnie brudnej klatce schodowej kamienicy śródmieścia. Oczywiście dziecko grzechu lub dzikiej namiętności, co ostatecznie na jedno wychodzi, rósł on, chował się i zmęźniał wśród wilgoci, stęchliny i mroku. Tak właśnie powstał nasz antysemityzm, niesłychanie prymitywny, naiwny, płaski a ułatwiony, co mu zapewne szerokie wzięcie u nie grzeszącej nałogiem myślenia krytycznego ludności m. Wilna. Nazwalibyśmy ten twór *made in Wilno*. Głębią przekonań nie sięga on nawet „Roli” Jeleńskiego, wszelkie historyczne podejście jest dlań zbyt-kiem, a zamiast ognia temperamentu wystarcza mu upór.

Wileński antysemityzm ułatwiony nie zastanawia się wcale nad właściwościami kraju naszego i jego nieszczęśliwej, a zamierającej coraz bardziej stolicy, Wilna. Jeśliby *exodus* żydów z kraju był nawet przesądzony, to i w tym wypadku prosty rozum nakazywałby nam chcieć, by opuścili oni Wilno właśnie *jak najpóźniej!* Jesteśmy bowiem *najmniej* przygotowani do tego, by objąć wnet po nich przemysł i handel, by liczącym się na dziesiątki tysięcy dozorcóm (i ich rodzinom) domów żydowskich i całym krociom służby żeńskiej, domowej i sklepowej zabezpieczyć na poczekaniu choćby tylko takie samo bytowanie i zarobkowanie u chrześcijan.

Wilno nie ma kapitalistów chrześcijańskich, coby mogli lub chcieli wkładać kapitały do inwestycji o szerszych ambicjach społecznych. Lata powojenne wykazały to dobitnie. Mieszczanstwo wileńskie zasila się wioską, dość słabo związane z miastem (ożenek, wdowieństwo, spadek stwarzają ciągłą fluktuację i wymianę wzajemną), uprawia w olbrzymiej części przemysł chałupniczy..., więc ani zdolne, ani przygotowane do podjęcia szerszych zadań, jakieby spadły

białoruskie ugrupowania partyjne i organizacje społeczne do zjednoczenia się i walki czynnej z Sowietami.

Czy istotnie zwycięstwo Japonii nad Sowietami mogłoby w dzisiejszych warunkach międzynarodowych przynieść Białorusinom dobrodziejstwa, o których z taką pewnością mówi odezwa „japońska”? Obietnica ta (w dodatku — zupełnie anonimowa) wydaje się zwykłym bluff'em politycznym. Przekonamy się o tem, analizując zarówno istniejącą koniunkturę międzynarodową, jak i hasła i cele ewentualnych partnerów Japonii w rozgrywce z Sowietami.

Przedewszystkiem, Japonia chyba się nie zdecydowała napaść na Sowiety bez zapewnienia, że jednocześnie na zachodniej granicy ZSSR wybuchnie wojna z sąsiadami zachodnimi Sowietów. W takim razie ziemie białoruskie z obu stron dzielącej je granicy stałyby się w pierwszym rzędzie terenem walk orężnych a jakie to skutki musi przynieść dla narodu białoruskiego, wiemy z doświadczenia wojny światowej:

Zmniejszyła ona liczebność Białorusinów z 12 milionów do 8...

I skutki wojny dla Białorusi musiałyby być równie fatalne zarówno w wypadku, gdyby zwycięstwo przechyliło się na stronę Sowietów (bo w takim razie na ziemiach Zachodniej Białorusi wyniszczonoby wszystko to, co dziś tu nosi narodowy charakter białoruski i aspiracje narodowo-niepodległościowe ujawnia a według terminologii sowieckiej nazywa się „nacdemowszczyzną”), jak nawet wówczas, gdyby się spełniły prośbom autorów „japońskiej” odezwy. Co do pierwszej ewentualności, nie wymaga ona specjalnego udowodnienia: polityka sowiecka w stosunku do narodowo czujących Białorusinów w BSSR mówi o tem dostatecznie wymownie. Drugą ewentualność należy jednak też omówić.

Żeby Białorusini istotnie mogli wykorzystać pogrom Sowietów, przewidywany przez autorów odezwy, by mogli się zorganizować dla walki czynnej z ZSSR (czy popularnej w masach, to inna kwestja!), ko-

na nie z chwilą wyjazdu Żydów. Nawet kler i rozbitki chadecji wileńskiej, Ligi św. Kazimierza, plus centrala chrześcijańskich związków zawodowych i sławetne cechy wileńskie razem wzięte, nie wydały, jak dotychczas, utalentowanych twórczo organizatorów chrześcijańskiego rzemiosła, przemysłu, handlu... Nie stworzono literalnie nic, co by się mogło równać chociażby przedwojennej akcji ks. Lubiańca i ks. Dyakowskiego. Niebrak wśród tych ludzi również antysemitów na eksport, bo często jednocześnie prowadzą sami cichaczem jakieś nieustanne interesy z Żydami. Ta podwójna buchalterja nie świadczy ani o ideowości, ani o zdolnościach konstruktywnych ruchu antysemitckiego u nas.

A gdzie i u kogo są w Wilnie fundusze na wykupienie tyłu domów żydowskich, warsztatów, składnic...? Pośpieszą z pomocą Poznań, Pomorze... Dobrze dziś, żywiąc się gdzieś pośrednio lub bezpośrednio u Żydów, wdychać do tego, by pośpieszyli nam na pomoc Poznaniacy, jednak zbudzi się i u nas pierwiej lub później i da się żywo odczuć świadomość, że i nam, żywiolowi miejscowemu coś się przecie należy na swojej ziemi, że nie wolno i niema sensu najmniejszego wszystko oddać obcym, chociażby tym przybyłym z Księstwa Poznańskiego, *nie szukać bowiem altruizmu u tych, co trudnią się łokciem i wagą*. Nikt dla nas i za nas pracować nie będzie, lecz uciulany u nas grosz przekaże, tylko parzyć, swoim bankom poznańskim i pomorskim.

Antysemityzm *made in Wilno* przeważnie jest bezmyślny, bezplanowy a niszczycielski. Łatwo się szerzy, ale również łatwo może się przedzierzgnąć w ruch anarchistyczny, z którym nawet endecja może mieć jeszcze kłopot nielada.

Antysemita wileński! czytajcie chociażby stare roczniki „Roli”, „Myśli Niepodległej”, „Liberum Veto”... i powieści Chońskiego.—Zawsze coś w głowie stąd zostanie.

Wileńczuk.

## „B” czy „C”?

Na przełomie lutego i marca 1936 roku, w czasie szumnie zapowiadanej i rozgłaszanej „Narady Gospodarczej”, zwołanej przez ówczesny rząd M. Ko-

niecne byłoby, by mieli jakąś odskocznnię poza granicami Białorusi Sowieckiej. Taką odskocznją dla Polski była na początku wojny światowej, jak wiadomo, Austria. Dla białoruskich irredentystów mogłaby nią być chyba tylko Polska. Lecz całokształt dotychczasowej polityki polskiej w stosunku do Białorusinów możliwość tę przekreśla.

O tworzeniu jakichkolwiek kadrów białoruskich sił zbrojnych w granicach państwa polskiego—niema mowy. W okresie, gdy problem ukraiński w Polsce zdawał się zbliżać do pewnego rozwiązania, analogiczny problem białoruski był przez reprezentantów rządu we wszystkich ich sejmowych i pozasejmowych deklaracjach „mniejszościowych” demonstacyjnie przemilczany, jako rzekomo „nieistniejący”.

Sugestje i obietnice „japońskie” w sprawie białoruskiej przypominają znany powszechnie fakt z dziejów wojny światowej. „Manifest” z obietnicą obdarzenia Polski autonomją (po zwycięstwie Rosji!) został wydany nie przez cara Mikołaja II, lecz przez

ściałkowskiego — wicepremier Kwiatkowski w doskonałym wywodzie proklamował hasło: frontem ku „Polsce B”. Wyśmienita argumentacja pana ministra przedstawiała na szeregu bijących w oczy przykładów jak upośledzona gospodarczo, inwestycyjnie, drogowo, dynamicznie i t. d. jest „Polska B”. A „Polska B”—to wszystko, co jest na Wschód od Wisły—a raczej Bugu. Polska B—to my.

Nie jeden zakamieniały sceptyk przetarł ze zdumieniem oczy. Toż—ten Kwiatkowski przemawia jak prawdziwy tubylczy krajowiec wileński. Delegaci sfer gospodarczych wileńskich, wrócili ze zjazdu w różnych humorach. Ale że wkrótce potem z powodu choroby redaktora „Przeglądu Wileńskiego” nastąpiła w wydawnictwie wielomiesięczna przerwa, nie mogliśmy w „Przeglądzie” oświetlić całości tego zagadnienia, ani wsypać przysłowionej szczypty soli do powszechnego entuzjazmu.

Po roku możemy już tylko retrospektywnie rzucić okiem na rozwój tej sprawy i ocenić jak ta fala wznosiła się i opadała w powszechnej opinii publicznej.

W dwa miesiące po „Naradzie Gospodarczej” śpiew łabędzi rządu Kościałkowskiego—to była uchwała o wybudowanie kosztem rządu 100 szkół powszechnych imienia Marszałka Piłsudskiego w woj. wileńskim. Potem do jesieni cisza—dużo rozmów, planów, rozważań—wreszcie późną jesienią dekret o inwestycjach na Ziemiach Wschodnich. Rzecz rzeczywiście realna—o ileby nie krótki czas trwania przewidzianych ulg i brak pieniądza w kraju. Przypominamy, że chodzi o to, iż kto w przemyśle czy rolnictwie Ziemi Wschodnich w ciągu 1937 i 1938 roku wybuduje gmachy lub inne urządzenia gospodarcze, rozszerzy istniejące, postawi maszyny i t. p. temu zużyte na ten cel fundusze, pochodzące z dochodu—obliczone będą przy wymiarze podatku dochodowego z podstawy opodatkowania — tak jak przy kupnie małego samochodu w całej Polsce lub przy budownictwie mieszkaniowym.

Ważnem przytem było przełamanie powszechności dawnych zasad tego rodzaju, gdyż przewidziane ulgi tyczyły się wyłącznie 4½ województw wschodnich. Był to pewny krok, zachęcający prywatny kapitał do inwestowania na Ziemiach Wschodnich, pierwszy realny czyn, będący spełnieniem hasła o odrobieniu gospodarczego upośledzenia „Polski B”. Choć późny krok, ale mądry,—zdawało się, że rząd jak pan Bóg

wodza naczelnego w. ks. Mikołaja Mikołajewicza. Otóż już wówczas ludzie krytycznie myślący wskazywali na okoliczność, iż z końcem „zwycięskiej” wojny ustanie automatycznie władza wodza naczelnego, i za obietnice jego car odpowiadać nie będzie. To samo jest dziś z obietnicami „japońskimi” Białorusinom: bo jedynym czynnikiem, który w wypadku rozgromu Sowietów mógłby w tej sprawie decydować, jest Polska, a właśnie Polska zachowuje głębokie milczenie i niczem nie zdradza swej gotowości do współdziałania z Białorusinami w ich dążeniach państwowo twórczych.

W Sowietach źle się dziś Białorusinom dzieje—to prawda. Lecz nic nie wskazuje na to, by w razie zwycięstwa Japonji i jej sojuszników zachodnich sytuacja na Białorusi Sowieckiej w dziedzinie kulturalno-narodowej i społecznej miała się polepszyć. Pewne jest natomiast, że cały tamtejszy białoruski dorobek kulturalny, zabarwiony na czerwono *przymusowo*, zostałby—jako komunistyczny—starty z oblicza

w myśl przysłowia jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. Pesymiści mogli narzekać na opieszałość, ale nie na wyniki.

Optymiści podnieśli głowy: a widzicie?—To przytem dopiero początek realizacji wschodniego programu gospodarczego... i robili tajemnicze miny.

Tymczasem pracowita i czynna natura p. Kwiatkowskiego nie mogła widać pozostać na laurach wynalazcy terminu i pojęcia „Polski B”. Ostatnio wystąpił w Sejmie z nowym programem inwestowania Polski centra niej—gdzieś koło Sandomierza, Sanu i Wisły, czemu głos opinii publicznej wnet nadał miano „Polski C”. Nasi pesymiści znowu podnieśli głowy, a optymiści gdzieś się pochowali.

Bo pomyślcie tylko: dopóki plany rządowe były w sferze planowania i projektów—mówiono o „Polsce B” — a gdy po uzyskaniu pożyczki francuskiej, po wzmocnieniu konjunktury i osiągnięciu realnych wyników zrównoważenia budżetu—przystąpić można do realizacji zapowiedzi, biedna „Polska” rozplywa się w falach sentymentu, a realna gotówka i inwestycje pojechać mają wprost do nowej centralno-sandomierskiej „Polski C”. Złośliwcy zaś już łamią głowy nad tem, gdzie niestrudzona wynalazczość p. Eugenjusza Kwiatkowskiego umieści za rok siedzibę następnej z kolei „Polski D”.

Przerażone głosy prasy ziem wschodnich otrzymały zadośćuczynienie w formie „miarodajnych” zapewnienia, że tradycyjne przywiązanie s. p. Marszałka Piłsudskiego dla swej ścisłej ojczyzny jest tradycyjnie honorowane u wszystkich czynników, mających władzę w ręku w postaci gorącego... uczucia i sentyment wprost nie da zapomnieć o potrzebach naszego kraju.

Ale stara zasada mówiąca o tem, że jeżeli na skostniały biurokracizm cośkolwiek ma wpłynąć to jedynie powszechne nastawienie opinii społecznej w jakimkolwiek określonym kierunku, a w danym wypadku w najlepszym razie to nastawienie przy szczupłości środków może wyłącznie być obrócone na ostatnie narodu hasło — więc „Polskę C”, nie zaś z sentymentem, ale niezbyt realnie ocenianych potrzeb składanej z honorami do lamusa „Polski B”.

Tak się już stało od zarania niepodległości Polski, że we władzach centralnych miały nasze ziemie zawsze dosyć znaczny udział przedstawicieli na najwyższych stanowiskach, przytem ludzi ogromnie

patryjotycznie usposobionych — przekładających ujęcie całości potrzeb państwa ponad partykularyzm lokalny. Natomiast na stopniu pośrednim i wykonawczym było inaczej. Inne dzielnice, bliższe i „rdzeniejsze” miały tam swych orędowników, którzy mieli zawsze na oku interesy najbardziej bliskich sobie lokalizmów.

Jakeśmy na tem wychodzili — wiemy dobrze na swej skórze, ale nie szkodzi dla przypomnienia parę przykładów.

Minęły już te czasy, gdy ustalane było różniczkowanie taryf kolejowych w kierunku zniżki od 400—600 km. z podwyższeniem dalszem już przy 800 km.

A właśnie 800 km, to odległość Wilna do zagłębia węglowego, do fabryk nerwów sztucznych — i do portu na Bałtyku. To upośledzenie jest naprawdę bardzo dawno. Nawet może jak dziś nie do pomyślenia byłaby praktyka, ujawniona przy zawieraniu pożyczki zapalczanej gdzie jednocześnie Polska się zobowiązała nie dopuścić eksportu osiny zapalczanej czy drewnienek do Francji, przez co koncern Kreugera ubił jedym zamachem dwa zające: podwyższył ceny za osikę w Francji, a obniżył u nas, zostając monopolistą zakupu na rynku krajowym. Ale o czem się zapomniało to, że osika rośnie tylko na ziemiach wschodnich i myśmy za tę transakcję zapłacili, zato pieniądze z pożyczki zużyte zostały na budowę kabla z Warszawy... do Cieszyna!! Dziś trzeba już rozwinąć więcej pomysłowości. Gdy np. przeszłej zimy wydzielano kontyngenty do Niemiec na wywóz zagraniczny, ziemie wschodnie dostały nadspodziewany przydział coś koło 40%. Wykryło się po pewnym czasie, że z ceny zł. 1.40 loco granice za 1 kg. żywca płacono u nas 68—82 gr. Gdzie reszta? Czyżby przewóz i eksploatacja tyle kosztowały? Nie—to każdy kilogram został obłożony specjalną opłatą na fundusz eksportowy Związku Bekonowego (czytaj: na pokrycie strat eksportu do południowej Afryki z innych krain) w wysokości 29 lub 31 grosze od kilograma a więc w wysokości około 40% ceny płaczonej rolnikowi. Inne dzielnice nie były widać zbyt skore do płacenia tego haraczu. A mimo to, te kontyngenty stały się dla nas dobrodziejstwem, gdyż poznańscy i kongresowscy eksporterzy zapoznali się z zapasami nierogacizny naszego terenu o doskonałych zaletach słoninowych i szynkowych i wnosili tu swój kapitał i zainteresowanie.

ziemi przez zwycięskich „antibolszewików”. I do udziału w takiej oto akcji wojennej odezwa „japońska” używa społeczeństwo białoruskie w Polsce!..

Czyżby politycy japońscy (jeśli istotnie o nich tu chodzi) byli aż tak dalece pozbawieni zrozumienia sytuacji Białorusinów?! Nie wiemy. Wiemy natomiast, iż za pieniądze zawsze mogą się znaleźć ludzie bezideowi, gotowi pełnić w stosunku do Białorusi Sowieckiej funkcje identyczne z temi, jakie w stosunku do ZSSR pełnią rosyjscy „biali” emigranci na Dalekim Wschodzie, a i gdzie-indziej również...

Lecz na ideowe poparcie zapoczątkowanej akcji „japońskiej” autorzy jej ze strony społeczeństwa białoruskiego w istniejących warunkach rachować nie mogą — niezależnie od sympatii czy antypatii tego społeczeństwa do komunizmu i czerwonej Rosji mocarstwowej. Zbyt wiele bolączek mają Białorusini na Białorusi Zachodniej, zbyt wiele obowiązków względem swego ludu tutaj leży na nielicznej miejscowej inteligencji białoruskiej, by mogła ona swe szczupłe siły

rzucić na szalę wagi, która ma rozstrzygać światowe zagadnienie przyszłego ustroju społecznego.

Na zakończenie podkreślić należy okoliczność, iż „Aktu Usiebielarskaho Antykomunistycznaho Frontu” jest *anonimowy* i otacza się głęboką *tajemniczością*, aczkolwiek nawołuje do szerokiej, jawnej i bynajmniej nie kolidującej z Kodeksem Karnym w Polsce akcji — partje i stowarzyszenia działające również jawnie i legalnie. Coś tu jest nie w porządku, — a w każdym razie daje to podstawę do wniosku, iż owa rzekomo japońska agentura nie posiada chyba „placet” rządu polskiego na swoją akcję, zapoczątkowaną już przez wydanie wspomnianej odezwy. Mieliśmy jeszcze jeden dowód, iż i „japońska” obietnica wolności dla narodu białoruskiego po ewentualnym zwycięstwie Japonji nad Sowietami nie została przez państwo polskie kontrasygnowana, co ostatecznie pozbawia ją wszelkiej wartości realnej.

Powstała na dużą skalę zakrojona przetwórnia mięsna w Baranowiczach — budoje się jeszcze większa w Nowej Wilejce pod Wilnem. Warunki gospodarzenia, szczególnie włościńskiego u nas zyskają na tem poważny bodziec i nowy opłacalny rynek zbytu. Wszystko jest na najlepszej drodze... a właściciel... Przed kilku dniami — już po proklamowaniu „Polski C” — Fundusz Pracy skreślił preliminowany i obiecany zasiłek pożyczkowy na budowę rzeźni i przetwórnicy mięsa w Nowej Wilejce (120 tys. złotych na ogólną sumę inwestycji tam przewidzianych prywatnych i samorządowych — 400 tys.), czem postawił w wątpliwość powstanie tej tak niesłychanie ważnej dla całej wileńszczyzny placówki gospodarczej. Optymiści twierdzą jednak, że nie należy tego wiązać ze sprawą „Polski B” czy „C” — a przypisać zwyczajnemu biurokratyzmowi — i że to się jeszcze da odrobić. Miejmy nadzieję, że i w dziedzinie kontyngentów na eksport do Niemiec ziół leczniczych (główny punkt eksportowy z całej Polski — Nowe Święciany, a przedtem Głębokie i Baranowicz), w wysokości odpowiadającej danym drogom handlowym (po kilkadziesiąt, nawet parę set tysięcy), a nie po 4—10 tys. na 4 województwa miesięcznie, jak to bywało od ubiegłej jesieni i to w czasie, gdy produkty innych dzielnic dostawały kontyngenty... w setkach tysięcy na towary inne, których ilość bez trudu dałaby się uszczuplić.

Miejmy nadzieję, że w sezonie grzybowym nie będą jak w ostatnim roku zmniejszane kontyngenty na grzyby — tylko od nas eksportowane — i t. p. i t. p.

Przytykliśmy do tego, że o każde dobrodziejstwo gospodarcze trzeba u władz centralnych walczyć dla naszego kraju — tak jak o tej walce nie zapominają inne dzielnice. Walka hartuje.

Ale na tym odcinku, jak i na odcinku inwestowania w nasze ziemie, bez czego podniesienie ich gospodarcze jest nie do pomyslenia — wolną opinią przeszkodą jest proklamowanie programu zainwestowania „Polski C”.

Od naszych sfer gospodarczych, od posłów i przedstawicieli wymaga dziś kraj nasz zdwojonego wysiłku i czujności na każdym kroku.

*Vis.*

## FELJETON

### Pieniactwo prasowo-sądowe.

Napisze ktoś o kimś, że jest bałwan. Proces sądowy. Przeczyta w odpowiedzi, że sam jest bęcwał. Drugi proces sądowy — czasami w tym samym dniu. Przyczem sąd wcale nie rozpoznaje kwestji, kto jest bałwan a kto bęcwał, lecz tylko, kto kogo znieważył. Oto ogólna formułka procesów o znieważeniu w prasie, tak bardzo rozpowszechnionych w czasach dzisiejszych.

Czy warto dziennikarzom procesować się w sądzie i odrywać myśli sędziowskie od rzeczy poważnych, jak zabójstwa, oszustwa, szantaże, fałsze, zgwałcenia i inne włamania. Przecież każde pismo ma swych czytelników, zwolenników a nawet wielbicieli, na których mu przedewszystkiem zależy, i tych zawsze może dowolnie przekonywać na swoich łamach, kto jest bałwanem i kto nie jest bęcwałem, a co się tyczy przeciwników — to napewno ich się nie przekona nawet za pośrednictwem sądu, bo przeciwnicy mimo

wszystko będą twierdzili swoje. Pocóż więc zawracać głowę Sądowi Koronnemu, kiedy właściwym sądem dla dziennikarza jest opinia publiczna, dla której on pisze, walczy i przed którą wygrywa lub przegrywa swoją sprawę.

Dla dziennikarza i publicysty przyrodzonym i mocno udeptanym placem walki, są szpalty pisma a nie płaszczyzny rozumowań i dyspozycji kodeksowych, gęsto poprzeorywane artykułami. Orężem walki dziennikarzy powinny być tylko pióra, maczane w krwi serdecznej lub nawet w żółci, a nie miotanie w siebie paragrafami, które mają formę podobną do bumerangów i jak bumerangi często wracają spowrotem do tego, kto je wyrzucił.

Jeszcze gdy chodzi o ludzi, nie posiadających własnego pisma — można ich zrozumieć. Taki musi gdzieś szukać t. zw. satysfakcji. Bożewicz przestaje być modny, a więc leci się do sądu. Chociaż jeżeli ktoś niema nawet własnego pisma, to zawsze znajdzie miejsce gościnne w organie antagonistów swego przeciwnika.

Dlatego niezrozumiałe zupełnie stają się, np., zatargi sądowe między wojewodą górnośląskim Grażyńskim i red. Mackiewiczem. Redaktor Mackiewicz ma swoje pismo „Słowo”, woj. Grażyński również ma oddany sobie organ „Polskę Zachodnią”. Walki tych dwóch pism przeniesiono na forum sądowe. W jakim celu?... Przecież sąd nie może zlikwidować tej walki przez orzeczenie, że stanowisko ideologiczne „Słowa”, lub też odwrotnie „Polski Zachodniej” — jest lepsze i racjonalniejsze, gdyż ta kwestja usuwa się z kompetencji sądu i sąd może najwyżej powiedzieć, kto kogo mocniej znieważył.

Pocóż więc woj. Grażyński wystąpił na drogę sądową?... Można snuć rozmaite domysły, ale lepiej tego zaniechać, gdyż można się pomylić. Dość, że skierował sprawę do sądu w Katowicach. To samo zrobił red. Mackiewicz, składając skargę przeciwko redaktorowi „Polski Zachodniej” i również do sądu w Katowicach. W rezultacie — jeden został skazany i drugi został skazany. Kto tu właściwie wygrał sprawę a kto przegrał?... Nic nie można zrozumieć. Moralnie poszło, zdaje się, na remis. Przynajmniej — w oczach szerszej publiczności. Bo Sąd Koronny z natury rzeczy musi brać kwestje fragmentarycznie i formalnie: kto kogo znieważył, lecz nie może się wgłębiać w problem, kto miał zasadniczo rację w swoim stanowisku polemicznym. W tej sprawie najwyższym sędzią jest Jej Królewska Mość opinia publiczna, która czytając polemikę „Słowa” z „Polską Zachodnią”, wyrabia sobie o niej swoje własne zdanie i sąd.

Dziennikarz, udający się do pomocy sądu w sprawach o znieważeniu w prasie, zdradza nieufność do własnej swej broni — przepotężnego słowa pisanego, — którym powinien walczyć i przekonywać. Zdradza również brak zaufania do jedynej i najwyższej swej instancji, to jest do opinii publicznej, która daleko wszechstronniej i głębiej może objąć jego sprawę, niż Sąd skrępowany nastawieniem i granicami kodeksu.

Widzę już oczyma wyobraźni efekt tego feljetonu. Od jutra posypią się do wszystkich Sądów w Polsce prośby o wycofanie wszystkich skarg o znieważeniu prasowe i o umorzenie tych spraw, w których zapadły już wyroki. Sędziowie odetchną spokojniej i w każdym większym mieście wyprawia bankiet na cześć dziennikarzy, którzy zwolnili ich od najwięcej kłopotliwej pracy. Złodzieje, bandyci i gwałciciele ucieszą się, że ich sprawy będą szybciej i raźniej załatwiane w sądach. Dziennikarze zaś naostrzą swoje

pióra, zatemperują ołówki, względnie naoliwią maszyny, aby przekonywać czytelników, społeczeństwo i świat cały, kto jest bałwan, a kto nie jest bęcwał.

*Bolesław Szyszkowski.*

D. 16 lutego, w rocznicę niepodległości Litwy, przed dziesięć laty zmarł w Wilnie Jan Basanowicz, jeden z najzasłużeńszych dla odrodzenia narodu litewskiego mężów.

W roku bieżącym społeczeństwo litewskie obchodziło podwójną uroczystość: żałobną wobec dziesięciolecia zgonu Basanowicza i radosną, jak od szeregu lat, z powodu uzyskania niepodległości przez naród litewski.

W Wilnie uroczystość wypadła skromnie i bez rozgłosu. Oby w przyszłości sytuacja się poprawiła!

## Ku czci ś.p. ks. Piotra Kraujalisa.

D. 30 stycznia r. b., w jeden z najmroźniejszych dni tej zimy, odbył się podniosły obchód żałobny ku uczczeniu długoletniego a zasłużonego działacza na niwie oświaty litewskiej ś. p. ks. P. Kraujalisa. By w niełatwych warunkach obecnych zorganizować go, trzeba było naprawdę przysłowiowego uporu litewskiego, hartowanego nieustannie w twardej szkole bytu narodowego.

Na dzień oznaczony zjechało się, w miarę możliwości, nauczycielstwo litewskie z prowincji, by dać wyraz swej wdzięcznej pamięci dla tego, który był nie tylko kierownikiem pracy oświatowej, lecz też doradcą, pocieszycielem i krzepicielem młodych pionierów kultury narodowej wtedy, gdy nieraz opadały im w zniechęceniu ręce wśród piętrzących się trudności.

Po obchodzie kościelnym u św. Mikołaja, nastąpił szczytowy moment uroczystości — poświęcenie i odsłonięcie pomnika na grobie ś.p. ks. P. Kraujalisa na cmentarzu Antokolskim. Przemówił tu ks. Krz. Czybiras, który był najbardziej zżyty z nieboszczykiem, najlepiej go znał, a dziś przewodniczy — w stokrój już gorszych warunkach — wileńskiemu „Rytasowi”. Nie było więc dlań rzeczą trudną w słowach zwykłych nakreślić i uwypuklić rysy postaci ś. p. ks. P. Kraujalisa. Wieczór tego dnia wypełniła akademja, na którą złożyły się przemowy i produkcje muzyczne, wśród których wybiła się na pierwsze miejsce skomponowana na uroczystość przez uzdolnionego muzyka i kompozytora litewskiego p. Siniusa kantata, osnuta na melodjach litewskich Wileńszczyzny.

Gdyby nie syberyjski mróz, frekwencja byłaby oczywiście większa wszędzie: w kościele, na cmentarzu i na akademji. Mimo wszystko, można być pewnym, że nie zarośnie na cmentarzu droga do mogiły i pomnika ś.p. ks. P. Kraujalisa.

\*

Osobno chcemy powiedzieć słów kilka o pięknym wydawnictwie, jakie się ukazało nakładem „Rytasa” przed samem Bożem Narodzeniem, a nosi tytuł *Kunigas Petras Kraujelis* (Wilno 1937). Czy to życiorys? Jeszcze nie, jest to jednak pierwsza próba zebrania materiału do życiorysu, przez utrwalenie na piśmie i w druku tego, co się o zmarłym wiedziało, na co się patrzyło, co się z nim przeżyło... Można dlatego byłoby uczynić tą pracę notatnikiem rozszerzonym.

Zręby biograficzne dał tu ks. K. Czybiras. Dowiadujemy się z nich, że starszymi kolegami niebo-

szczyka, gdy się uczył jeszcze w gimnazjum mitawskim, byli: Smetona, Tubelis, Szlapelis, Wajczkus... Już na ławie gimnazjalnej ujawnił się w młodzieńcu tak nam dobrze znany charakter o twardych zasadach, równie nieustępliwy w rzeczach wiary, jak i narodowości. Jako maturzysta miał Kraujalis możliwość podążyć, wślad za kolegami, na uniwersytet petersburski, przemógł jednak go głos powołania kapłańskiego i wstąpił do seminarjum duchownego w Wilnie, które wówczas było wyłącznie jeszcze nastawione na obsłużenie potrzeb katolików, mówiących jedynie po polsku.

Duszno było wtedy w murach św. Jerzego i dopiero odetchnął młody Litwin, gdy znalazł się w akademji petersburskiej i począł słuchać wykładów profesorów rodaków, jak Buczys, Dąbrowski, Jawnis, Maculewicz, Matulewicz i in. Zatrzymaliśmy się na chwilę nad tym okresem dlatego, że to były lata kształtowania się oblicza duchowego ks. P. Kraujalisa.

Perypetyj jego życia kapłańskiego (Wilno, Grodno, Troki, znowu Wilno) nie będziemy roztrząsali wcale, notujemy tylko próbę wciągnięcia zmarłego do redagowania czasopisma „Słowo i Czyn” ks. St. Miłkowskiego, wydawanie wileńskiej „Auśry”, pracę w „Życiu ludu”, zamiar objęcia profesury w jednym polskim seminarjum duchownem w Ameryce, gdzie było też 30 alumnów Litwinów, zabiegi w r. 1914 w Watykanie o pomoc dla Litwinów wileńskich, wywiezienie przed Niemcami archiwum kościelnego do Mohłowa, udział w międzynarodowych kongresach, list ujmujący swą otwartością do Marszałka Piłsudskiego w sprawie polityki szkolnej względem Litwinów i in.

Ks. Kraujalis pracował też jako publicysta i pisarz, o ile mu czas na to pozwolił. Praca piórem nie była dlań sama w sobie celem, jeno środkiem oddziaływania na innych.

Oprócz ks. Czybirasa dali o nieboszczyku przyczynki biograficzne: W. Budrewicz, dr. W. Szyksznis, R. Mackiewicz..., ponadto dwa wiersze P. Karazii i W. Szeksztele i kilka podobizn.

Jeżeli chodzi o luźne wspomnienie, to znalazły się w książce omawianej kolejno głosy: bpa M. Rejnisa, ks. Ad. Stankiewicza (jedyny po białorusku, nie przełożony na język litewski), ks. Wł. Tołoczki, bpa P. Buczysa, prof. A. Około-Kułaka, kan. St. Miłkowskiego, red. L. Abramowicza, o. gen. A. Cikoty, ks. dr. J. Reszecia, o. dr. Bonawentury Zajączkowskiego, J. Konopki, J. Widżunasa, P. Molisa i T. Sukackasa.

Pozostały jeszcze poza nawiasem tej pracy wspomnienia bpa Kaz. Bukraby z Pińska, bpa sufr. Kaz. Tomczaka z m. Łodzi, ks. profesorów Cz. Falkowskiego i L. Puciaty.

Tak ś.p. ks. P. Kraujalis doczekał się w czasie dość prędkim dwóch pomników — w kamieniu i w druku.

*Rimtas.*

W letnim okresie znany od wielu lat w Wilnie badacz litewski p. Paweł Karazija, jako nie posiadający obywatelstwa polskiego, został wysłany przez władze administracyjne z Wilna i zamieszkał w Warszawie. W początku lutego otrzymał nieoczekiwany rozkaz opuszczenia natychmiastowego Rzeczypospolitej Polskiej i wyjechał do Kowna.

Rodzina jego zostająca w Wilnie, otrzymała również polecenie wyjazdu z granic Polski. Po usilnych staraniach uzyskała jednak pozwolenie pozostania w Wilnie do lata.

Prasa polska wileńska nie poświęciła tej sprawie należytej uwagi.

## Puszkina a Litwa.

(W setną rocznicę zgonu poety).

Wchodzi tu w grę jako źródło przedewszystkiem korespondencja poety. Otóż czasu powstania listopadowego, Puszkina pisał do swego bliskiego przyjaciela i stałego, najpoufniejszego powiernika, P.W. Naszczokina 11.VI.: „Mówią tu (w Petersburgu) o wzięciu i spaleniu Wilna, o tem że Chrapowickiego pono powieszono. Straszne, mam jednak nadzieję, że to nieprawda. Cholera podobno się nie uspokaja”. Widocznie żywo go to interesowało, bo tegoż dnia pisząc do księcia Wiaziemskiego, wraca znowu do tematu powyższego: „Mówią tu o wzięciu Wilna i o powieszeniu Chrapowickiego. Okropne pod wszelkimi względami! Daj Boże, żeby była fałszywa wiadomość”.

Powstanie tymczasem rosło i szerzyło się, obejmując Litwę, Białoruś, Wołyń i Podole. Puszkina, jak mówi prof. W. Lednicki, był świadom tego, że sprawa Litwy była wówczas istotnie zasadniczym przedmiotem sporu rosyjsko-polskiego. Ces. Aleksander I nie dotrzymał obietnicy przyłączenia ziem Litwy i Białorusi do kongresowego Królestwa Polskiego, hamowany obawą zranienia dumy swej szlachty rosyjskiej i ściągnięcia na siebie jej protestów. W swym wierszu *Rocznica Borodina*, Puszkina nie tylko skonkretyzował istotę sporu powyższego, lecz próbuje dać jej wyraźną formułę polityczną w słowach:

*Kuda odwinie stroj twierdź?  
Za Bug, do Worskły, do Limana?  
Za kęm ostanietsia Wołyń?  
Za kęm nasłiedyje Bogdana?  
Priznaw miatieżnyje prawa,  
Ot nas ottorgnietsia-l Litwa?...*

Ujmując to prof. W. Lednicki w sposób następujący:

„Nie ulega bowiem wątpliwości, że to poetyckie, zarazem ściśle, jak publicystyka najrzeczowsza, *compendium* wszystkich problemów terytorjalnych, związanych z zatargiem polsko-rosyjskim, jest jednocześnie programem zasadniczym Puszkina i, w jego przekonaniu, programem Rosji całej.

„Czyż trzeba nadmienić, że w tym względzie poeta nie był w błędzie i że, wobec tego, poruszył doniosłe i do dnia dzisiejszego aktualne zagadnienie? Czyż trzeba nadmienić, że ten jego program dla większości Rosjan zachował po dzień dzisiejszy swoją całkowitą słusność i ważność? Czyż trzeba przypominać, że podobne tezy zawierał słynny projekt Curzona, niewątpliwie przez dyplomatów rosyjskich inspirowany, że w podobnym sensie i w tonie Puszkiny przemawiał w 1920 r. w Spaa do ówczesnego polskiego Prezesa Ministrów, również przez Rosjan podżegany Lloyd George?...

„Czyż trzeba do tego wszystkiego dodawać, że był to nienaruszalny dla Rosji katechizm jej polityki..., nienaruszalny jeszcze nawet obecnie, o ile chodzi o Rosję nie—bolszewicką, że jest to katechizm dotąd niezachwiany, który przeszkadza jej, niezależnie od wszelkich innych racyj, uznać traktat ryski? Czyż wreszcie nie będzie zbędnym przypomnienie, że dopiero projekty federalistyczne Bakunina, koncepcje autonomiczne „Klubu autonomistów” w pierwszej Dumie rosyjskiej, uczyniły pewien wyłom ideowy w tym programie?” Słowem teza Puszkina, zapowiadająca, że morze rosyjskie pochłonie rzeczki słowiańskie, była zaprzeczeniem bezwzględnie tezy Mickiewicza, która

oczywiście oddawała i przyznawała Wilno i Litwę tylko Polsce.

„Jak patrzono na Mickiewicza wśród znajomych Puszkina, wiemy z późniejszego listu księcia Wiaziemskiego: „Mickiewicz, chociaż marnotrawny brat..., jest jednak naszym bratem: *on Litwin...* Tu nie egzystują konwencjonalne przegrody *parafańskich narodowości...* Polityczne uprzedzenia, polityczne urazy i sympatje Mickiewicza umarły z nim razem, nic one nas nie obchodzą” (podkr. nasze).

W *Onieginie* Puszkina mówi tak:

*Tam pieł Mickiewicz wdochnowiennyj  
I posriedzi pribieżnych skał  
Swoju Litwu wospominał.*

Latem r. 1830 Puszkina jeszcze raz wspomina Mickiewicza:

*Piewiec Litwy w razmier jego stieśnienij  
Swoi mieczty mgnowienno zakluczal.*

Tyle miejsca w życiu i poezji Puszkina zajęły Litwa i Wilno.

Wat.

## Bibliografia.

*Działalność Instytutu Badań Spraw Narodowościowych 1921—1936.* Warszawa 1936.

Jest to książeczka sprawozdawcza dość rozgłoszonej dziś, a będącej nieraz w ogniu walk prasowych instytucji. Obejmuje ona czasokres od r. 1921 do kwietnia 1936, czyli lat piętnaście jej istnienia.

Na wstępie mamy *Skład osobowy Instytutu*, skąd widać, że wśród władz Instytutu, Wilno jest dziś w zupełnej mniejszości, mając w zarządzie tylko dr. dr. Wielhorskiego i Wysloucha. Mało lepiej z miejscowymi ludźmi na liście członków rzeczywistych Instytutu.

Rozdział *Działalność Instytutu* objaśnia nas o genezie, czyli pierwszych latach pracy Instytutu, który powstał i rozwinął się właśnie z wieczorów *dyskusyjnych*, jakie urządzano w Warszawie w latach 1921—1923, uległ przerwie w latach 1924—1925 i dopiero zreorganizował się w r. 1926, wytknąwszy sobie do badań wyłącznie naukowych dziedziny specjalne i ustalwszy obecną organizację Instytutu.

Znowu jego działalność *naukowo-badawcza* polega na opracowaniach statystycznych wogóle, a sprawy rozsiadlenia ludności polskiej i litewskiej, kwestji ukraińskiej, żydowskiej i in. szczególnie. Rzut oka na rozkład pracy i tematykę dotychczas odbytych wykładów świadczy, że Instytut nie staje w swem sprawozdaniu z próżnemi rękoma. Wszystkie bowiem zagadnienia z dziedziny polityki narodowościowej były przez niego poruszane. Nie da się zaprzeczyć u kierowników tej instytucji dobrej woli sięgnięcia w każdym zagadnieniu głębiej niż to czyni zwykła przeciętna publicystyka polska. Więc nie godzimy się z wileńskim „Słowem”, gdy występuje z tupetem przeciw celowości w potrzebie instytucji tego rodzaju. Nie wahamy się atoli wysunąć innego zarzutu, a jest nim umyślne traktowanie każdego z tych wybitnie praktycznych zagadnień w płaszczyźnie wyłącznie teoretycznej, rozważanie wszystkiego w oderwaniu od podłoża, na którym dane zagadnienie konkretnie istnieje i domaga się rozwiązania. Stąd cała praca Instytutu przypomina szkolną pracownię fizyczną, która umie zademonstrować przed klasą miniaturowe podobieństwa zjawisk przyrody, lecz wcale jeszcze nie zabezpiecza człowieka

przed ich grozą i nie racjonalizuje sprawy wykorzystania ukrytej w nich energii. To świadome unikanie przez Instytut kontaktu z rzeczywistością życiową ta jego laboratoryjność w bardzo dużej mierze zmniejsza wartość całej jego pracy.

Drugą dziedziną pracy Instytutu jest jego działalność wydawnicza, której głównymi pozycjami są: dwumiesięcznik „Sprawy Narodowościowe” i kwartalnik w języku francuskim „Questions Minoritaires” oraz odbitki (tubym odniósł też pracownię kartograficzną). Ponadto Instytut w okresie sprawozdawczym wydał kilka publikacji samodzielnych nie tylko w języku polskim, lecz też w angielskim, francuskim i niemieckim. Trzeba jeszcze uczynić wzmiankę o cyklach „Biblioteka Narodowościowa”, „Polacy zagranicą” i in. Oprócz słowa drukowanego, Instytut posługiwał się dla popularyzacji narodoznawstwa u nas serją odczytów wygłoszonych przez specjalistów.

Wreszcie nienajmniejszą jego zasługą jest stworzenie biblioteki (prawie 5.000 tomów), archiwum naukowego i archiwum wycinków prasowych, co jest dziś nie do pomyślenia bez stałego przezeń kontaktu i wymiany wydawnictw z pokrewnymi organizacjami i instytucjami w kraju i zagranicą.

P. K.

*Śvietimo Takais (1926—1936)*. Red. M. Gudėnas. Święciany. 1936 r.

Nauczyciele litewscy, skupieni przy Litewskim Związku Nauczycielskim na terenie święciańskim, z okazji jubileuszu istnienia (dziesięć lat) związku swego, wydali o własnych siłach ciekawą książkę zbiorową.

Znajdujemy w niej sporo artykułów, pośród których wyróżniają się ze względu na temat i formę artykułu M. Gudėnasa o warunkach bytu nauczycieli litewskich i tegoż: „Nauczyciel w roli zbieracza zabytków sztuki ludowej”.

Nawiasem dodać wypada, że dzięki własnej inicjatywie nauczyciele litewscy od pewnego czasu zaczęli zbierać w terenie zabytki archeologiczne, etnograficzne i folklorystyczne, ratując je od zagłady i jednocześnie stworzyli w Święcianach przy swoim Związku Muzeum Krajowe, które zostało przez nich otoczone poważną opieką i utrzymywane jest ze znajomością rzeczy. Muzeum to, choć skromne, ale ciekawe. Stworzenie takiej placówki na prowincji jest godne jak największej pochwały i poparcia.

W. Cicėnas w art. „Wieś Wasiuny” daje obraz współczesnego stanu ekonomicznego i kulturalnego ludności miejscowej. Gorzej wyszło u autora z historią. Kościół w Twerczu założony został w r. 1501 przez Jerzego i Mikołaja Wargolłowiczów, a nie w r. 1670, zaś w 1662 r. Feliks Pac (skądże Patas!?) osadził w Twerczu Kanoników regularnych. Klasztor został zwinięty w 1832 r., a nie w wieku XVIII.

Szereg obrazów beletrystycznych i utworów poetyckich bogaci miłą książkę. Na szczególną uwagę zasługuje wiersz „Przy grobie nauczyciela” Melanji Pundytė. Wiersz ten zrodził się z prawdziwego natchnienia.

Książka wydana nader starannie i gustownie ozdobiona licznymi ilustracjami, za co należy się szczerze uznanie redaktorowi jej M. Gudėnasowi.

W. Sak.

**Engelsztern Mojżesz.** *O wyborach do gminy żydowskiej.* Wilno 1936.

Jest to broszura zawierająca dwa teksty—polski i żydowski, a więc obustronna. Ukazała się wprawdzie w sierpniu, w okresie przed wyborami do gminy żydowskiej m. Wilna, jednak jej treść stanowi ważny postulat życia żydowskiego naogół, stąd też ma ona wartość aktualności i dziś.

Charakterystyczną chorobą wileńskiej gminy żydowskiej jest to, że z instytucji religijno-kulturalnej stała się nie od wczoraj rodzajem jakiegoś lokalnego sejmiku żydowskiego z całym jego sobkostwem, kłótniwością i partyjnictwem. Gdy tak się dzieje u góry zarządu gminnego—kahału—nic dziwnego, że muszą cierpieć dotkliwie przyjęte przezeń na utrzymanie przeróżne żydowskie instytucje kulturalno-filantropijne, stanowiące doniedawna jeszcze chlubę *Jerozolimy Litewskiej*. Oto np. kadry żydowskiego nauczycielstwa w Wilnie są licho opłacane, dom dla starców przy ul. Portowej prowadzi gospodarkę niedopuszczalną, podając w wątpliwość celowość leżącej w jego osnowie idei, znany *Miszmeres Chojlim* w instytucji społecznej faktycznie przekształca się powoli w przedsiębiorstwo prywatne, teatr żydowski, zamiast pielęgnować tradycje niezapomnianej *Habmij* przeobraził się w latach ostatnich w gorszego gatunku kabaret, znieprawiający produkcjami pornograficznymi duszę młodzieży żydowskiej. Nie jest lepiej w żydowskiej „Taniej kuchni” i „Tanich Domach”. Również stare, szacowne a historyczne synagogi wileńskie nie wyłączając zabytkowej głównej, świecą nieporządkiem turystom, którzy, odwiedzając ghetto wileńskie chcą obejrzeć religijne i narodowe pamiątki Żydów wileńskich.

Oby gorący apel do sanacji zabagnionych w gminie żydowskiej stosunków trafił rychło do serca nowego jej zarządu.

T.

## Od Wydawnictwa.

Z rozporządzenia Starosty Nr. 1 „Przełądu Wileńskiego z dnia 29 stycznia b. r. został skonfiskowany za artykuł p. t. „Z historii walki o język wykładania historii i geografii w gimnazjach mniejszościowych”.

Stan zdrowia redaktora nie pozwala mu jeszcze na pracę należyłą. Przez czas pewien wskutek tego, pismo nie będzie mogło wychodzić regularnie dwa razy na miesiąc. Mamy nadzieję, że na przyszły kwartał nastąpi poprawa.

**D R U K A R N I A**  
**„K R A J O W A”**

**WILNO, GDAŃSKA 6**

**T E L E F O N 2 0 3**

**Wykonuje druk czasopism w jęz. krajowych •**